



Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza
RSW
„Prasa-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa. Aleja Stanów Zjednoczonych 53

GŁOS WIELKOPOLSKI
ul. Grunwaldzka Nr 19
06-792 Poznań

Nr z dn.

19-01-89

665 „Czarna maska” Krzysztofa Pendereckiego poszła w świat i ma szansę stać się przebojem eksportowym polskiej sztuki operowej. Wszyscy zgadzamy się co do tego, że przedmiotem eksportu nie powinny być surowe półprodukty i rozwiązania częstkowe — że winniśmy sprzedawać za granicę gotowe obiekty na możliwie najwyższym poziomie.

Otóż poznańska „Czarna maska” Krzysztofa Pendereckiego pod kierownictwem muzycznym Mieczysława Dondajewskiego i w reżyserii Ryszarda Peryta to właśnie takie dzieło kompletne, produkt polski najwyższej jakości, który winien być nie tylko przedmiotem naszego zachwyty w kraju, ale także wysoko kwalifikowanym dziełem eksportowym, na którym — zanim przejdzie do historii polskiego teatru muzycznego — moglibyśmy porządnie zarobić.

„Czarną maskę” oglądałem kilkanaście razy, na co dzień i od święta, z widowni i od strony kulis podczas intensywnych prób — po co więc teraz pojechałem za nią do Krakowa? Ano, by zdobyć jeszcze jedno doświadczenie w obcowaniu z tym niezwykłym dziełem: wysłuchać go w wersji koncertowej. Poznaniacy wcześniej dokonali takiej właśnie realizacji w Berlinie Zachodnim oraz w Norymberdze, czyż więc mogłem opuścić taką okazję w kraju i to właśnie w Krakowie?

Tym bardziej, że Mistrz zdążył już opracować „Czarną maskę” w postaci skróconej, jako suitę, którą ponoć przygotowuje w Filharmonii Poznańskiej dyrektor Wojciech Michniewski. Mniemam, iż nie zabraknie mu fantazji i odwagi, by po produkcji własnej zaprosić na estradę filharmonii do Auli Uniwersyteckiej Mieczysława Dondajewskiego i jego artystów — niech się staną w Poznaniu wielkie śpiewanie. Były konkursy śpiewaków w Norymberdze, co uwiecznił w swej operze Wagner — dlaczego by nie miało być podobnego święta w Poznaniu?

Krakowianie nie kryli się z tym, że woleliby ujrzeć „Czarną maskę” w jej kształcie operowym. Tak, ale Kraków, który niezmiennie pretenduje do miana kulturalnej stolicy Polski (zwłaszcza teraz, gdy minister kultury oraz sekretarz KC „od kultury” to krakowianie) — otóż ten Kraków nie dorobił się opery. Pani Elżbieta Penderecka tłumaczyła mi, że to wina ojców miasta, którzy swoje stółki traktowali jako etap przejściowy do kariery w Warszawie. Wydało się jednak, że Kraków znacznie wcześniej przeoganił swoją szansę. Gmachy operowe najczęściej wznoszono w ubiegłym stuleciu, dlaczego zatem Kraków wtedy nie dorobił się opery, choć tkwił między Budapesztem i Wiedniem, gdzie muza opery rozbestwiła się jak nigdzie? Może właśnie dlatego?

Nie skorzystałem z możliwości

przysłuchiwania się próbom koncertowej wersji „Czarnej maski”, jakie dyrektor Dondajewski intensywnie przeprowadzał przy pomocy Antoniego Grefa w sali koncertowej (byłe kino!) Filharmonii Krakowskiej im. Karola Szymanowskiego — z poznańskimi solistami i orkiestrą, ale tym razem, dla potaniania imprezy, z udziałem krakowskiego chóru filharmonicznego, przygotowanego przez Jacka Mentla. Nasz chór-

Inna „Czarna maska”

mistrz, Jolanta Duta-Komorowska na wszelki przypadek była w sali. Szkoda, że nie udzieliła kilku lekcji śpiewającym krakusom, może by im dobrze zrobiło, gdyby się zapoznali z jej twardą, choć przecież delikatną ręką?

Po wielokrotnym obejrzeniu scenicznej wersji dzieła Krzysztofa Pendereckiego w wykonaniu poznaniaków doszedłem do wniosku, że wielkości tkwi nie tyle w muzyce Pendereckiego, ile przede wszystkim w inscenizacji i wykonaniu artystów poznańskich. Jak słuchacze w sali koncertowej zniosą ten nieustanny muzyczny pęd do przodu? Jak wytrzymają pierwszych dwadzieścia minut, wypełnionych chichotem Arabellii i natłokiem rwanych

dialogów, często przechodzących w krzyk i histerię? Benigna w wersji operowej pojawia się dopiero na scenie po kilkunastu minutach, ma swoje wielkie entrée co w wykonaniu Ewy Werki, spływającej wprost ze schodów wypada olśniewająco, a tu, w sali koncertowej, nasza gwiazda wschodzi na estradę gęśią z innymi. Albo jak sobie wyobrazić partię Jedidiego Pottera spróbowaną wyłącznie do śpiewu,

pozbawionego wyrazistej sztuki aktorskiej Aleksandra Burandt, zwłaszcza wtedy, gdy wykonuje ten szalony taniec na stole w rytmie „Dies irae”?

Dzień koncertu. Był to, a kys! piątek i trzynasty dzień stycznia, godzina 19.30. Sala wypełniona raczej umiarkowanie, wiele miejsc wolnych — to ci z zaproszeń. Na szczęście, niezawodna młodzież z wejściówkami błyskawicznie wypełniła te łusiny. W pierwszym rzędzie Mistrz z małżonką, atmosfera wielkiego wydarzenia. Orkiestra stroi instrumenty, zalega cisza — i wreszcie wchodzi! Na czele nasze młode śpiewaczki, wysmukłe i piękne, każda na swój sposób: Wiesława Piwarska, Jolanta Podiewska, Joanna Kuba-

szewska, Urszula Jankowiak i Ewa Werka. A za nimi panowie: Józef Kolesiński, Aleksander Burandt, Piotr Liszkowski, Radosław Żukowski, Janusz Jemnicki, Marian Kępczyński, Tomasz Zagórski, Jerzy Kulczycki, Michał Marzec i Wiesław Bednarek. Na prawym balkonie druga orkiestra i Wacława Górny-Rann, która, jak na Aniela Śmierci przystało, czujnym spojrzeniem ogarnia salę. To już prawie teatr, panowie co prawda w zwyczajowej, choć nieskazitelnej czerni i bieli, ale za to wszystkie panie wyglądające jak „z rajskiej dziedziny utędy”: Ewa Werka cała w czerni i złocie, zaś sukni Joanny Kubaszewskiej nie silę się nawet opisać, białą-beżową, do figury z fantazyjną falbaną.

Za chwilę, gdy wejdzie Mieczysław Dondajewski i zabrzmią pierwsze takt „Czarnej maski”, rozpocznie się godzina (a dokładniej: godzina i czterdzieści minut) prawdy. Wszyscy śpiewacy stoją w jednym rzędzie, na tych samych prawach, choć różnie zapisani w partyturze. Ewa Werka, Józef Kolesiński, Aleksander Burandt mogą się wyśpiewać, inni mniej, ale tu, na estradzie, stało się jasne, jak ważną rolę odgrywają w muzycznym przebiegu dzieła te niby postronne postaci: bez epizodów i krótkich wejść Wiesławy Piwarskiej, Jolanty Podiewskiej, Michała Marza, Wiesława Bednarka i innych to wielkie śpiewanie po prostu by się rozsypało. Tu też sprawdziła się tra-

fność obsady ról: śpiewacy nawet z epizodów stworzyli kreacje, grane przez nich postaci zaistniały w dramacie, przebijając się poprzez zmasowane dźwięki orkiestry i intonacje chórów.

Tak, na estradzie Filharmonii Krakowskiej, rozsypały się moje wymądrzania na temat tego co w „Czarnej masce” ważniejsze — muzyka, czy inscenizacja? Ta orkiestra, jej skupiony dyrygent i stojący z przodu śpiewacy — wszyscy oni dowiedli, że liczy się przede wszystkim muzyka, która — jak napisał Babel — przepływa przez ten kształt nietrwały zwany człowiekiem niby woda wieczności. To ona sprawiła, że śpiewacy w wielkim uniesieniu potrafili dojść zamysłu twórcy i poprzez grę namietności kreowanych przez siebie postaci ukazać dramat dzisiejszego świata, jego złudzenia i nadzieje, dążenie do światła i mroku. Ten dramat został przez Pendereckiego wyrażony środkami czysto muzycznymi poprzez sytuacje bohaterów zaproszonych na ostatnią ucieczkę przez burmistrza Schullera.

Może więc dobrze, że krakowianie nie obejrżeli opery, lecz tylko jej estradową konkretyzację? Ów dym, który się wdziera przez okna w finale tačno by mogli odczytać jako zwiastuna zagłady ich miasta, a kuranty z wieży ratusza Balkenhainu mogłyby się im skojarzyć z dźwiękiem dzwonu Zygmunta, który bije na twógcę.

KAZIMIERZ MLYNARZ